Napisał: Krzysztof Kochański


– Zagram i pokonam Go – mówił. – Kto ma Go pokonać, jak nie ja?

Był zdecydowany, po to zresztą kupił Program, płacąc pośrednikowi wątpliwjej reputacji bajuńską sumę.


A teraz Jack siedział przy komputerze, mając wczytany ten słynny Program i zaciskał potniejące dłonie. „Press any key”...

Jack był graczem z prawdziwego zdarzenia. Prawdziwym talentem, jeśli chodził o gry komputerowe. Zaczynał przed laty w zwykłych salonach gier: labirynty, wyścigi, najeżdzię z kosmosu, łowcy skarbów... Wtedy zasmakował w hazardzie – nałóg grania... Później dostęp do mikrokomputerów, gry coraz bardziej doskonale, wyrafinowane, coraz wyższy stopień trudności, wysiłek nie tylko manualny, ale i umysłowy. Umiejętności Jacka wzrastały, w końcu nie było gry, której nie potrafiłby opanować perfekcyjnie, przeszkody, której nie potrafiłby pokonać, pułapki, której nie zdołałby ominąć.


Ciągłe współzawodnictwo, nieodparta chęć wygranej, sprawiły, iż nie mógł przestać grać. Zatem grał, choć o nowe programy było coraz trudniej, skoro ambicje i umiejętności rosły.

O Grze Śmierci dowiedział się z gazet, które obwieściły sensacyjny wyrok na pro-
gramiście będącym jej twórcą. Gdy tylko o tym przeczytał, wiedział, że nie zazna spo-
koju, dopóki nie zmierzy się z Programem.

Z pozoru sprawa wyglądała beznadziej-
nie: autor Gry został skazany, wszystkie 
kopie Programu zniszczone. Ale Jack znał 
ludzką psychikę i nie wierzył, aby ktoś spo-
śród tych, od których zależało usunięcie 
wszelkich śladow po Programie, nie zapra-
gnął mieć takiej Gry. I nie omylił się, czego 
dowód miał przed sobą.

„Press any key”...

Tak długo czekał na tę chwilę, stracił tyle 
czasu i pieniędzy, a teraz potknęły mu dłonie 
nie mógł zdecydować się na ten prosty ruch.

„Press any key”.

Prawdę mówiąc, nie wierzył do końca we 
wszystko, co pisała prasa. „W Gę można 
tylko wygrać, przebrana kończy się śmiercią 
gracza”. Nie animowani ludzików i po-
tworków, lecz rzeczywistego gracza. Decy-
denta Gry.

Brzmiało to śmiesznie, ale...

Programista otrzymał karę śmierci. Za 
żart nie wieszła się ludzi – i to w majestacie 
prawa.

– Zaalatwię cię – szepnął Jack cedząc sło-
wa. Nie spuszczał oczu z monitora. – Nie 
zwykłem przegrywać z maszyną.

Odruchowo przemawiał do komputera, 
choć doskonale zdawał sobie sprawę, że jest 
 to tylko urządzenie, które bez oprogramo-
wania jest mniej przydatne niż elektryczna 
maszynka do golenia.

„Press any key”.
A więc wcisnął ten klawisz!

Θ Θ Θ

Pani Huston zapuściła do drzwi gabinetu 
męża, lecz nie usłyszała odpowiedzi. Zapu-
kała raz jeszcze, głośniej; wiedziała, że Jack 
bardzo nie lubi, gdy wchodzi się do jego 
pokoju bez pukania. I tym razem nikim nie 
odezwali się, co bardzo ją zaniepokoiło – 
często przez wiele godzin nie wychylał nosa 
z gabinetu, ale cały dzień to nawet jak na 
niego bardzo długo.

Uchyliła drzwi i zawołała. Cisza...

Jack siedział na kanapie. Skulony, wbijaj-
ając łokcie w kolana, trzymał dłonie przy 
twarzy, opierając na nich cały ciężar prze-
chylonego ciała.

Komputer był włączony, ekran migotał 
jakimiś napisami, a z głośnika dobiegała 
zwariowana meludyka bez końca.

– Jack! Dlaczego nie odpowiadasz jak 
wołam? – pani Hustonchwyciła męża za 
ramię.

Jack ani drgnął. Westchnął tylko ocieżale 
 i dalej tkwił w swojej dziwacznej poziecji. 
Spojrzenie pani Huston powróciło do kom-
putera. Przez chwilę marszczyła brwi, czyta-
jąc komentarz wyświetlony na monitorze 
 i zaraz potem jej oczy zrobiły się okrągłe. 
Błysnął w nich przestrach.

– Jack, ty chcesz... Jezus Maria! Ty w TO 
grałeś? O Boże! Jack!

Krzyczała, aż zabrakło jej tchu.

Później umilkła, zastaniając po kobiece-
u usta dłonią. Milczał również Jack, tylko 
komputer nieprzerwanie wygrywał takty 
melodyjki.

Wreszcie Jack wstąpił i sztwnym krokiem 
odszedł do drzwi. Twarz miał niesamowicie 
bladą, niemal síną; podkrążone oczy spożyła-
dały w dal, jakby nieobecne.

– Dokąd idziesz, Jack? Wyłącz to pasku-
dztwo, nie mogę tego słuchać!

Jack z obojętną miną przekroczył próg 
pokoju. Ku zdumieniu małżonki zaraz jed-
nak zawrót i ponownie usiadł na kanapie.

– Na miłość boską, powiedz coś! – ton 
głosu pani Huston urosł do krzyku.

– Wygrałem – stwierdził nieoczekiwanie 
Jack, lecz z jego twarzy nie ustępował wyraz 
apatie. Wydawało się, że do jego uszu nic nie 
dociera, oczy nie widzą niczego, a myśli 
błędzą po nieodgadnionych obszarach wy-
obraźni.

Było to ostatnie słowo, jakie wypowie-
dział w swoim życiu.

Θ Θ Θ
Jacka Hustona leczył znany psychiatra, dr Phil Goldfin, entuzjasta jungowskiego ujęcia podświadomości zbiorowej, prekursor w dziedzinie neopsychoanalizy. Naukowy autorytet Goldfina zdawał się gwarantować pozytywne wyniki w leczeniu wszelkich przypadków, pod warunkiem, iż w ogóle są one uleczalne.


Dr Goldfin nie poddawał się do końca. Gdy pojawił, że jego wiedza nie wystarcza, aby pomóc Hustonowi, zdecydował, iż jest przed nim tylko jedna droga: poszerzyć swoją wiedzę.

A zatem samemu zmierzyć się z Programem. Zmierzyć się i zrozumieć. Dr Phil Goldfin był wielkim człowiekiem...

Był!